

„Wesele” czy wesele?

Janusz Wilhelm poświęcił w „Kulturze” inscenizacji telewizyjnej „Wesela” felieton, w którym pisze m. in.:

„... Lidia Zamkow postanowiła rozegrać dramat (komedię?) Wyspiańskiego w ramach psychologicznego i sytuacyjnego prawdopodobieństwa. (...) Zlikwidowała postacie symboliczne, czyniąc z nich już to fenomeny snu pijackiego, już to zjawy „day dreams”, marzeń dziennych, kiedy na pograniczu świadomości coś nam się rói wyobrażone i utrzymywane przy życiu siłą pragnienia, już to obiekty tworzonego właśnie i zapisywanego mozołnie słowo po słowie poematu, już to spontaniczne kreacje aktor-skie ludzi, którzy nagie uwolnili się od cenzury i w tej nowej roli głoszą otwarcie, co im w duszy gra. (...) W rezultacie otrzymaliśmy utwór realistyczny lub nawet i naturalistyczny, swoisty reportaż, ewoluującą „godzinę szczerości” z przelotnym stuleciem. (...)”

Nie jestem zgorszony tą koncepcją „jako taka” i nie uważam, aby naruszała ona jakiegokolwiek świętości. Ale każda koncepcja ma swoje logiczne konsekwencje. Tak i ta. Zakłada ona mianowicie, że w świecie — na scenie czy w telewizorze, to obojętne — przedstawionym nie działają inne siły poza naturalnymi. Postaciami, ich zachowaniami, ich stosunkami rządzi wyłącznie prawidłowości znane z potocznego doświadczenia albo z wiedzy pozytywnej: społeczne, psychologiczne, fizjologiczne. Wszystko musi być jak w życiu — bez cudów. Bez cudów też rozwija się spektakl Lidii Zamkow, aż do chwili pojawienia się (a raczej zasygnalizowania) Wernyhory. Myślimy najpierw: sen pijacki, tak chciała reżyserka. Ale sen pijacki okazuje się oto intersubiektywny: widzą go jeszcze dwie postronne osoby. Czy śniły one równocześnie? I co więcej: to samo? Kategorie psychologicznego i sytuacyjnego prawdopodobieństwa pekają w szwach, aby rozlecieć się całkowicie w finale.

W finale — jak pamiętamy — wszyscy zastygają w bezruchu, rażeni niemocą. Jak tę niemoc, przecież fizyczną, wyjaśnić siłami naturalnymi? Stuporem? Gazem paraliżującym, którym ktoś cichcem uraczył wesełników? W ramach potocznego doświadczenia, na jakim Zamkow wsparła cały spektakl, taki finał jest idiotyczny. W ramach tego doświadczenia,

w ramach reportażowego prawdopodobieństwa należało być konsekwentnym i dopisać finał i nny: zgaę, kaca, wołanie o sok z kwaszonej kapusty i o jodynę na rozbitą głowę. Tak przecież jest i bywa „naprawde”, kiedy ludzie sobie popiją i następnie wytrzewiąją. A przecież dążenie do tego „naprawde” stanowi sedno koncepcji Lidii Zamkow. Jeśli bowiem powiemy, że nie o to jej chodziło — to staje się zupełnie niejasne, o co w ogóle jej chodziło.

Oczywiście, reżyserka finału nie zmieniła. Rozumiem dobrze, dlaczego. Taka zmiana, ratując logikę, podważałaby przecież rację istnienia całego przedsięwzięcia. Wielki zamach kostiumowy — i właściwie po co? Aby pokazać, jak jeden pan uwiódł jedną panią i jak kilkanaścioro innych biesiadników podywagowało sobie mało zbornie w stanie nietrzeźwym o sprawach prywatnych i publicznych? Rozumiem więc dlaczego finał Wyspiańskiego został. Ale ten finał jest z innej — nie reportażowej, nie naturalistycznej — postyki. Ten finał, aby miał sens, aby nie był niedorzeczny, wymaga uprzednio tego wszystkiego, co Zamkow skrę-

nie wyrzuciła. Szpokowości całego przedstawienia. Symbolicznej dwuznaczności od pierwszych scen. Obecności wizualnej owych zjaw, owych „postaci dramatu”, obiektywizujących — jako siłę sprawczą — tradycje historii.

Nie jest prawdą, że to wszystko Wyspiański poprowadził sobie do „Wesela” jedynie przypadkiem. Jego wizja artystyczna była tutaj rzadko logiczną funkcją wizji ogólniejszej: ciężenia — prawie materialnego — przeszłości nad teraźniejszością. Ta myśl o tragicznej predestynacji dziejowej, o życiowej konieczności przezwyciężenia tej predestynacji, o zamkniętym kole niemożności tego przezwyciężenia — w przedstawieniu Lidii Zamkow zatracą się całkowicie.

Jest ono zlepkiem dwu wyłączających się wzajem koncepcji, który właściwie nic nie znaczy. A jeśli znaczy — to jedynie dlatego, że odwołuje się do naszej pamięci samego tekstu oraz innych przedstawień. Czy ogół, a nawet czy tylko większość widzów wyposażona jest już w taką pamięć? Czy należało im zatem prezentować takie właśnie „Wesele”?